



WIECZORY RODZINNE

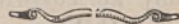
Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.

KOT WYBAWCA.



Zamieszkała w Indiach Wschodnich Angielka leżała chora w łóżku, a nikogo nie było w pokoju oprócz ślicznego, białego kota z puszystym futerkiem i niebieskimi oczami. Był to kot innego gatunku jak nasze — rasy zwanej perską. Nagle biedna chora spostrzegła pełzającego na posadzce, jadowitego węża, który w pobliżu łóżka podniósł głowę i wlepił w nią okrągłe, szklane oczy. Zdrętwiała z przerażenia, sądziła, że już nadeszła jej ostatnia godzina... Kot, ujrawszy węża, wskoczył na gżems kominka, lecz nie ze strachu, jak w pierwszej chwili myślała jego pani, tylko dlatego, żeby rzucić się na węża z góry i pochwyć go za kark zębami, a pazurami za ogon. Wąż szamotał się i bronił, ale po chwilowej walce kot go zadusił.

Sztukmistrze w Indiach popisują się z obłaskawionymi wężami *kobra*, obłaskawienie rozpoczynają od wrywania im zębów, pod którymi mieszczą się pęcherzyki [z zabójczym jadem. Po wyrwaniu zębów wąż jest nieszkodliwy i można się bezpiecznie zająć jego uczeniem.



Pogadanki z dziedziny chemii.

XXII. Dyfuzya cieczy.

Zjawisko dyfuzji cieczy stanie się bardziej zrozumiałe dla czytelników, skoro wskażemy im doświadczenie, które sami mogą wykonać.

Do małego wysokiego naczynia szklanego, zwanego probówką albo epruwetką (dostać można w każdym większym składzie szklanych towarów za 5 kop.) nalewamy tyle dystylowanej wody, ażeby sięgała do połowy naczynia. Następnie za pomocą lejka szklanego z długą szyjką (kupić tamże) wlewamy na dno epruwetki roztworu nasyconego koperwasu miedzianego (siarczanu miedzi). Jeżeli koniec lejka sięga aż do dna probówki, jeżeli wlewaliśmy roztwór wolno, to w naczyniu otrzymujemy po ostrożnym wyjęciu lejka dwie warstwy cieczy; ciemny niebieski roztwór siarczanu miedzi, jako znacznie cięższy zajmie dolną połowę naczynia, przezroczysta zaś woda górną. Postawmy tak napełnioną probówkę w miejscu spokojnym na kilkanaście godzin, a przekonamy się, że zaszły w niej znaczne zmiany. Wyrażna granica pomiędzy ciemno niebieskim roztworem koperwasu, a przezroczystą wodą zniknęła. Dolne warstwy wody stały się niebieskawe, górne zaś warstwy siarczanu miedzi przybrały jaśniejszą barwę. Pozostawiając epruwetkę przez dłuższy czas w spokoju, ujrzymy, że zawiera ona jednostajnie zabarwiony roztwór koperwasu miedzi.

Cóż się więc stało w probówce?

Widocznie część bezbarwnej dystylowanej wody przešla się do dolnej połowy, zajętej przez siarczan miedzi i pomieszała się z nią. Z drugiej strony część niebieskiego roztworu siarczanu miedzi przeniknęła wbrew sile ciężkości do dolnych warstw wody. Z biegiem czasu nastąpiło dokładne pomieszenie się obu cieczy.

Jest to tem dziwniejsze, że roztwór siarczanu miedzi posiada daleko większy ciężar gatunkowy, a więc w zjawisku powyższem owe cieczce poruszały się naprzekór sile ciężenia.

Takie powolne mieszanie się dwóch cieczy nazywamy w nauce dyfuzyą; zjawisko to jest spokrewnione z powyżej wyjaśnioną dyfuzyą gazów, lecz wywołuje je inna siła przyrody.

Zanim zajmiemy się tą siłą, musimy się przyjrzeć jeszcze jednemu doświadczeniu.

Bierzemy rurkę szklaną długości 1 stopy, a średnicy $\frac{1}{2}$ cala, w braku zaś jej zwyczajny cylinder od lampy i na jednym końcu obwiązujemy ją kawałkiem pęcherza. Następnie przygotowujemy mocny roztwór soli kuchennej w wodzie i napełniamy nim rurkę do połowy. Rurkę wstawiamy w słoje z czystą wodą, tak, aby poziom cieczy w naczyniu i rurce był jednakowy.

Pozostawiając przez kilka godzin wszystko w spokoju dostrzegamy ze zdziwieniem, że w rurce ciecz wznosi się coraz wyżej. Odbywa się to jeszcze prędzej, jeżeli trochę nie rozpuszczonej soli znajduje się na dnie rurki. Jakże to siła zmusza wodę do podnoszenia się wbrew sile ciężkości? Siłą tą jest dyfuzya. Atomy soli kuchennej,

zawartej w rurce i atomy wody w słoju wzajemnie się przyciągają; ponieważ jednak dzieli je przegroda z pęcherza, przeto muszą one ją przebywać, ażeby się połączyć. Otóż atomy wody przenikają prędzej przez pory do rurki, aniżeli atomy soli do wody; wskutek tego poziom wody w rurce podnosi się. Wznoszenie się cieczy trwa dopóty, dopóki cała ilość soli zawartej w rurce nie rozproszy się równomiernie w wodzie. Kiedy to nastąpi, ciecz w rurce znacznie opadać, gdyż siła dyfuzji działać przestała i siła ciężkości odzyskuje swoje prawa.

Dyfuzya cieczy przez porowate przegrody albo błony zwierzęce zwie się w nauce endosmozą i ma wielkie znaczenie w życiu ludzi, zwierząt i roślin. Umożliwia ona odżywianie, gdyż za jej sprawą pokarmy z kiszek przenikają do krwi, a z ziemi do komórek roślinnych; dzięki niej odbywa się wymiana materii pomiędzy komórkami, a naczyniami krwionośnymi, wymiana gazów w płucach przy oddychaniu i t. d.

Wielka doniosłość endosmozy dla życia zwierząt i roślin skłoniła uczonych do gruntowniejszego zbadania jej praw. Okazało się, że w danych warunkach przez jedną i tę samą błonę rozmaite cieczki dyfudują z niejednakową szybkością. Tak na przykład przez pęcherz zwierzęcy wchodzi do wody 1 gram siarczanu miedzi, podczas gdy do siarczanu miedzi wchodzi $9\frac{1}{2}$ gramów wody. Solna woda dyfuduje 4 razy wolniej, aniżeli woda czysta, to znaczy, że podczas gdy do wody wchodzi 1 gram soli, to do soli wchodzi 4 gramy wody. Alkohol dyfuduje tak samo jak i sól 4 razy wolniej, aniżeli woda. Jeżeli jednak zamiast pęcherza weźmiemy kauczukową błonę, to się okaże, że spirytus dyfuduje prędzej, aniżeli woda. Widzimy więc, że i natura błony odgrywa ważną rolę w dyfuzji.

Wspomnieliśmy już, że wszystkie te zjawiska są skutkiem działania siły przyciągającej, jaka istnieje pomiędzy cieczkami i błoną z jednej strony, a pomiędzy atomami cieczy z drugiej strony.

Faktem najbardziej przemawiającym za tem, że w dyfuzji cieczy działają tylko siły przyciągające, jest ta okoliczność, że nie wszystkie płyny pomiędzy sobą dyfudują. Tak na przykład olej i woda mogą nie wiem jak długo stykać się ze sobą i ani jeden atom oleju nie wnuknie pomiędzy atomy wody. Atomy tych dwóch cieczy nie przyciągają się wzajemnie. Kwas siarczany i woda dyfudują ku sobie natomiast bardzo silnie, gdyż płyny te mają ku sobie wielką skłonność, tak, iż łączą się ze sobą przy wydzielaniu znacznej ilości ciepła. Siła przyciągająca, jaka się objawia w dyfuzji, jest widocznie spokrewnioną blisko z chemicznem przyciąganiem pomiędzy atomami. Nauka dzisiejsza dochodzi stopniowo do przypuszczenia, że musi istnieć pewne podobieństwo pomiędzy mieszaniem a łączeniem się chemicznem. Prawdziwy jednak stosunek istniejący pomiędzy siłą przyciągającą, jaka się ujawnia w dyfuzji, a siłą przyciągającą pomiędzy atomami, łączącymi się chemicznie ze sobą, jest jednak, jak dotąd, zagadką w nauce.

Wl. U.

Koniec.



WIGILIA ŚW. ANDRZEJA.

(Dokończenie)



am też pewną wprawę! — dodała z wyrazem zadowolenia.

Kasztelanowa uśmiechnęła się pobłażliwie, a córka jej skrzywiła usta, panieni ki zaś pomyślała sobie:

— Jeżeli wróżby każdej przyniosą takie zmarszczki i chudość, to padam do nóg!

Lecz Elżunia z wielkim zadowoleniem odsłoniła obrus, na stole ukazały się bryły wosku, i wielkie misy cynowe, napełnione wodą. Na osobnym zaś, okrągłym stoliku, stał żelazny trójnóżek, pod nim fajerka do węgla, mieszek do podsycania żaru i spory rondelek. Dwórki jak zórawie powyciągały szyje, chcąc zgłębić tajemnicę owych przyrządów, panna Eulalia zaś z całym namaszczeniem spytała:

— J. wielmożna kasztelanka pozwoli, że na jej intencję zacznę wróżby?

Po bladej twarzy Tekli prześliznął się rumieniec, oczy zapalały ciekawością i, spojrzawszy na grono dwórek, rzekła:

— Jest to wieczór dziewic, razem więc powinniśmy rozpocząć wróżby.

— Jak wola j. wielmożnej kasztelanki, jeno razem trudno, nie wiem, jakby to uczynić — odpowiedziała z pewnem zakłopotaniem Eulalia.

— To ja waćpannę wyęcę — mówiła, ożywiając się panna Tekla.

I zbliżywszy się do stolika, wrzuciła dużą bryłę wosku w rondelek, mówiąc:

— Rozpuścimy wosk, potem każda zaczerpnie chochlą *), wyleje na wodę i będzie swej wróżby pilnowała.

Zaraz też Elżbietka nagarnęła z kominka żarzących się węgla w fajerkę, Urszulka chciała je mieszkciem rozdmuchiwać, lecz panna Eulalia odsunęła ją, mówiąc:

— To już do mnie należy.

Wkrótce wosk zaczął syczeć, błysk z rozżarzających się węgla padal migotliwem światłem na bladą twarz Tekli i pochyloną głowę Eulalii. Obie wyglądały jak kapłanki jakiegoś tajemniczego bóstwa, około których dwanaście dziewic czuwało. Dwórki bowiem wzięwszy się za ręce otoczyły je kołem, śpiewając:

Gotuj że się, gotuj,
Losy nasze wotuj,
Bo w tem, co się warzy,
Los nam szczęście zdarzy! **)

Wkrótce wosk w płyn się rozpuścił, panna Tekla naczerpnęła chochlą i wylewając go na wodę, rzekła:

— Wylewam pierwsza, lecz wyjmę swą wróżbę ostatnia.

Za nią, nie dając się wyprzedzić, zaczerpnęła Eulalia, potem kolejno przystępowały dwórki z takim namaszczeniem i powagą, jak gdyby owe wróżby miały rzeczywiście losy ich rozstrzygnąć. Panowała też zupełna cisza, bo każda panna z bijącym sercem śledziła ścinanie się wylanego przez siebie wosku, bacząc, żeby się z innym nie zmieszała.

Gdy już zastygł właściwie, panna Eulalia nie dała się nikomu wyprzedzić i poczęła wróżby.

— Najpierw j. wielmożnej kasztelanki — rzekła, sięgając do misy.

— Powiedziałam, że wylewam pierwsza, a wróżbę

chcę usłyszeć ostatnia! — zaprotestowała panna Tekla, przytrzymując wosk ułożony w fantastyczne kształty.

— Powróćcie najpierw imię pannie Eulalii — ozwała się kasztelanowa, która dotąd w milczeniu przypatrywała się zabawie.

— To już chyba najlepiej Elżbietka uczyni — ozwała się któraś z dwórek.

Elżbietka nie dała sobie dwa razy powtarzać, wzięła wosk z rąk Eulalii i obracając go na wszystkie strony, wodziła nim przy białej ścianie, dopóki cień nie zaczął się układać w jakieś określone a przynajmniej przypuszczalne kształty.

— Ho, ho, ho, co ja widzę, ołtarz, najwyraźniej ołtarz, na nim świece, przed nim kłęcząca para i ksiądz wiążący jej ręce, a dalej mnóstwo ludzi — mówiła młoda wróżka figlarnie, obracając na wszystkie strony wosk i wskazując na migocące cienie.

— Już ja to wiem, że wkrótce wyprawimy gody weselne! — zaśmiała się kasztelanowa. — Mam nawet już sztuczkę na ślubną suknię dla panny młodej — dorzuciła.

— A ja obiecuję być druchną, zawczasu więc przygotowuję dla oblubienicy welon i mirtowy wianek — rzekła, ożywiając się panna Tekla.

— A panny co na tę uroczystość dorzucą? — spytała kasztelanowa swych dwórek.

— Ja wyhaftuję chusteczkę.

— A ja ręcznik.

— Ja kołnier.

— Ja upiekę placek.

— A ja tort.

I tak po kolei odzywały się głosy figlarne. Prześcięgały się też w obietnicach, myśląc sobie:

— Można jej całe królestwo na dzień ślubu obiecać, bo już chyba w jej wieku za mąż nie wychodzą. A panna Eulalia chociaż o ślubie nie myślała, dygnęła ze śmiechem na wszystkie strony, aż wreszcie rzekła:

— Za dobroć serc tyłu winnam się wróżbą odwdzięczyć.

I wzięwszy wosk z rąk najbliższej stojącej, poczęła wróżby z wprawą od tylu lat praktykowaną. Więc jednej przepowiedziała, iż zamieszka w zamku wspaniałym, innej, że będzie miała trosk dużo, lecz, że zostaną uwieńczone weselem. Inna znów miała osiągnąć wielkie szczęście, lecz musi na nie jeszcze poczekać i tak dalej i dalej.

Śmiechów i wesołości było co niemiara, a każda choć niby nie wierząc, snuła na tych przepowiedniach piękne marzenia.

— A dla mnie co święty Andrzej nadesłał? — rzekła panna Tekla, ożywiona niezwykle zabawą swoich rówieśnic.

— Ho, ho, dla j. wielmożnej kasztelanki z pewnością nasz święty patron był hojny! — mówiła, przychlebiając się panna Eulalia.

Lecz zaledwie zamigotała po ścianie woskiem ulanym w fantastyczne kształty, czoło jej pokryło się wielkim fraszunkiem. Fraszunek ten wprawdzie zaraz pokryła i poczęła coś prawić o księciu w złotolitej szacie, dążącym na koniu o skrzydłach orlich, lecz kasztelanka jej przerwała.

— Wiem już, wiem koniec tej pięknej baśni!

I wzięwszy wosk wróżebny, rzuciła go w kominek.

Na jej bladych ustach zaigrał uśmiech, lecz był jakiś inny niż ten, z którym weszła.

Twarzyczka jej przybrała wyraz rezygnacji i spokoju i z rzewną życzliwością spojrzała na swoje rówieśniczki, kwitnące całym bogactwem zdrowia i urody.

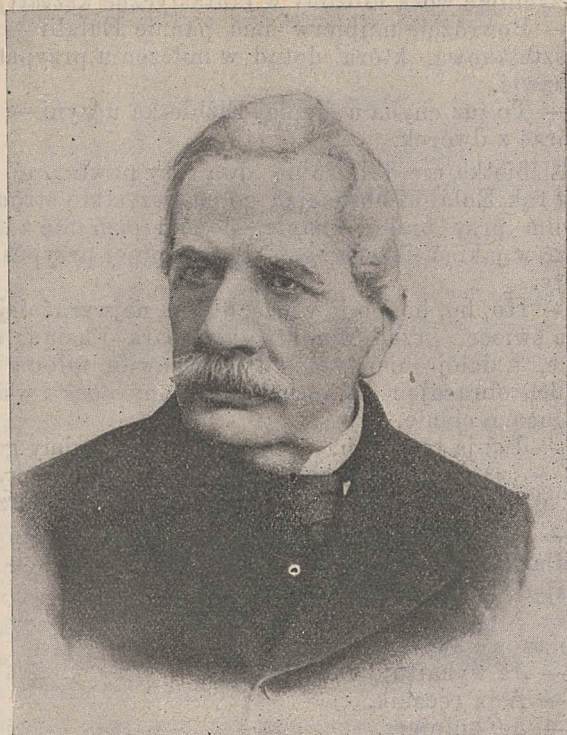
W tej chwili wniesiono olbrzymią piramidę, ułożoną z drobnych ciastek, które miały także swój cel wróżebny.

— Teraz już ślepy los wróżyc będzie, boć kucharz poumieszczał karteczki, nie wiedząc, kto je dostanie — ozwała się dobrotliwie kasztelanowa, zachęcając do rozbierania słodkiej i misternej budowy.

— Niech ochmistryni zaczyna! — rzekła panna Tekla. — Ja znów chcę być ostatnią — dodała.

*) Łyżką wazową.

**) Z pieśni starodawnych.



Ludwik Górski. (str. 390).

Eulalia z wdziękiem przesadnym sięgnęła po ciasteczko zdobiące wierzch piramidy. Rozłamała je i z uśmiechem radości przeczytała:

Jak przystało,
Czeka cię los, jakich mało!

Za ochmistrzynią szły dwórki, a każda po rozłamaniu ciasteczka znajdowała imię męskie, wyraz, mający oznaczać jej przyszłość lub zręcznie ułożoną sentencję.

Owe karteczki były to dary dworzan Nakielskiego zamku, wręczali je zwykle kucharzowi, aby tym sposobem przesłać złośliwą uwagę, życzenie, lub popisać się dowcipem.

Między sentencjami były.

Nie dufaj tak wiele w tę swoją urodę,
Bo ona ucieknie, jako latka młode.

A były też wprost:

„Zaręczyny.” „Ślub.” „Klasztor.” i t. p.

Naprzemian więc były wykrzykniki radosne i pełne zawodu, niemniej wszakże sala rozbrzmiewała młodemi głosy.

I panna Tekla ożywiła się jakoś, a chociaż po wyciągnięciu kartki chmura osiadła na jej bladym czole, spędziła ją, szepnąwszy:

— Trzeba się pogodzić z losem!

Lecz czas nie patrzy choćby na najrozkoszniejszą rozrywkę, bieży i bieży; czasomierze przypominają każdą ubiegłą godzinę. Wydzwonił też zegar dwunastą, a pani kasztelanowa rzekła:

— Adwent w tej chwili się rozpoczyna, czas już na spoczynek, bo o szóstej ksiądz kapelan wezwie nas na roraty.

* * *

Mrok w kościele, jeno ołtarz jaśnieje światłem. Sześć świec woskowych rzuca swe blaski a pośrodku najwyższa najpiękniejsza rozlewa.

To jutrzienka wschodząca, to wyobrażenie N. Maryi Panny, wyniesionej nad wszystkich ludzi życiem Swem peł-

nem cnót i miłości, bólem i cierpieniem z powodu męki i śmierci Zbawiciela.

Uroczyście biją dzwony i w takt ich kołaczą serca w piersiach wiernych i wnoszą się modły do Tej, która jest opiekunką uciśnionych i cierpiących, przedewszystkiem zaś opiekunką dziewic.

— Rorate coeli — śpiewa kapelan.

— Spuście niebiosą rosę modlą się wierni.

Modlą się gorąco i dwórki pani kasztelanowej ze swą ochmistrzynią na czele.

Może błagają Maryi Dziewicy aby spełniła wczorajszą przepowiednię, może u Jej stóp składają swoje losy...

Może... któż odgadnie.

Lecz najgoręcej chyba modli się kasztelanowa. Wzniosła oczy ku niebu, na jej twarzy bladej i znużonej błogość osiadła, a usta szepcą:

— Dzięki ci o Panie, że podczas niewinnej zabawy oświeciłeś umysł mój i wskazałeś właściwą drogę.

— Rorate coeli, spuść tę rosę i napełnij nią duszę moją spragnioną.

Umilkły organy, i pieśń pobożna, i ciche modły umilkły, lecz nie umilkła myśl zacna, która się w sercu kasztelaniki zrodziła.

Łaska czasem splywa w chwili, gdy najmniej zdaje się czas po temu sposobny. Łaska ta splynęła na nią w chwili, gdy z ulanego wosku ujrzała na cieniu krzyż. W przełamym przysmaku znalazła zaś karteczkę z napisem:

Tam szczęście twoje,
Kędy ukoisz cierpienia i znoje.

I odrazu w sercu jej rozdrażnionem a garnącym się do świata, powstała myśl, którą niebawem w czyn wprowadziła.

Opuszczone i sieroty przygarnęła do siebie.

A gdy na rok następny zapalono roratną świecę i lu-

Do pow. „Pierwsi ludzie na księżycu ”



Kula wpadła w morze z ogromnym pluskiem (str. 392).



Pieśń myśliwca

I.

Hej, grajże mi, rogu bawoli!
O mojej wesołej graj doli,
O bycie myśliwca prostaczym,
O jego zawodzie junaczym!

Niech granie twe idzie w zawody
Z szemraniem jesiennej przyrody,
Z wiatrami, co w smętnym poświęście
Zmiatają pożółkłe już liście.

Niech granie to w kniejach się szerzy
I płoszy zwierzynę z jej leży!
Niech głosy te echo poniesie
Po polu, po gaju, po lesie!

Dalejże w las, dalejże w las!
Już ranek świta: czas już, czas!
Dalejże w głąb, dalejże w gaj!
A ty, mój rogu, grajże, graj!

II.

I oto już jestem śród boru:
Tak ciemno, jak podczas wieczoru;
Tak szumią nade mną konary,
Jak gdyby narzekał bór stary.

Przejrzyste się płaczą tunany
Po ziemi, igliwiem wysłanej,
I tulą w swe chłodne uściski
Pień każdy zwilżony i śliski.

Jak dunne, poważne tu drzewa!
Gdy żaden już ptaszek nie śpiewa —
Ślą one ku niebu swe szumy
Śród tęsknej, jesiennej zadumy...

Tu wszędzie pnie, tam wszędzie pnie...
I coraz ciemniej wokół mnie...
Zwierz blisko... rogu, przestań grać!
Do rąk dwururka... Sokół, stać!...

III.

Wśród leśnej zacisznej polany,
Igliwiem i mchami wysłanej,
Dwie sarny się tulą do siebie,
I tak im tu dobrze, jak w niebie!
Kiściami się karmią sośniu,
Tam uszczkną gałązkę brzeziny,
Czasami z pod liści wygarną
Wiatrami posiane tu ziarno.
I czas im upływa tak mile,
I lecą tak szybko im chwile:

Nie wiedzą, że grożą ich życiu
Ja, strzelec, z dwururką w ukryciu!...
Tu się zatrzyman... Sokół, stój!
Obfity hędzie plon dziś mój:
Trza ubić tego kozła wraz...
Więc chociaż żal mi... czas już, czas!

IV.

Ha, trudno! pod strzechą mej chatki
Czekają na powrót mój dziatki,
Do mamy, jak ptaszki, się tulą,
Wołając: „Daj chleba matulu!”
A chleba skąd weźmie myśliwy,
Gdy nie ma i pola i niwy?
Więc strzelbą wyżywiam rodzinę,
Sprzedaję do miasta zwierzynę.
Niech szumią nad głową mi sosny,
Niech skarży się puszczyk żaloszny:
Myśliwy się skarg tych nie lęka,
Przy strzale nie zadrży mu ręka!
Na cel już wziąłem: strzelać czas!
Wnet hukiem strasznym zagrzmi las
Strzeliłem... dymu pierzchły mgły,
I biedny kozieł legł na mchy.

Alfred Ludowski.

dzie śpieszyli na mszę o świcie, każdy wskazywał biały dwór, na którym błyszczał napis:

Rosa niebieska niech napełni serca nasze.

I długie, długie lata na przedmieściu miasta Nakła¹⁾ istniał dom biały, w nim mieściły się opuszczone i sieroty, a z portretu spoglądała szlachetna twarz ich założycielki.²⁾

Z. Morawska.

Ludwik Górski.

Czytelnicy nasi na łamach „Wieczorów” zapoznali się nieraz z życiorysami mężów, którzy na polu nauki, literatury, sztuki lub działalności społecznej położyli niespożyte zasługi. Obowiązkiem bowiem naszym jest o tych mężach wiedzieć, znać ich dzieła i obok uczuć wdzięczności starać się w miarę możliwości i uzdolnienia ich naśladować.

Przed tygodniem obchodziliśmy właśnie jubileusz rzadki, bo 60-o letniej pracy i działalności jednego z najcenniejszych obywateli kraju, prezesa komitetu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, Ludwika Górskiego. Sędziwy ten starzec, urodzony w 1818 roku, przez całe swe życie zarówno piórem, jak czynem, radą i przykładem zachęcał swoich współobywateli do pracy wytrwałej i umiejętnej na każdym polu a zwłaszcza w gospodarstwie wiejskim, stanowiącym główne bogactwa naszego kraju, do ładu i obowiązkowości we wszystkich czynnościach, do należytego obchodzenia się z ludem, do rozumnej dobroczynności i pieczy nad mniej oświeconymi i ubogimi, wreszcie do stałej bogobojności, niezłomnej wiary i ufności w Opatrzność Boską.

Nie będziemy wam teraz wyjaśniałi szczegółowo zasług Ludwika Górskiego, wspomniemy tylko, że w życiu naszego społeczeństwa w całej 2 ej połowie XIX w. grał on wybitną rolę, którą, ucząc się dziejów, poznać i ocenić.

Obchód jubileuszowy był nader uroczysty. Po nabożeństwie w kościele św. Jana — w mieszkaniu jubilata zebrał się przedstawiciele obywatelstwa ze wszystkich stron kraju, różnych towarzystw i instytucji. J. eks. biskup Ruskiewicz ofiarował mu złoty medal pamiątkowy, na cześć jego wybity, a Henryk Sienkiewicz rozpoczął wspinał się przemową długi szereg adresów, powinszowań i życzeń, między innymi Sióstr Miłosierdzia Tow. św. Wincentego à Paulo i św. Kzimirza, któremi on i nieżyjąca już małżonka jego ś. p. Paulina z hr. Krasieńskich stałe się zajmowali.

Z pośród dwóch gromadek sierot, wychowanek tych dwóch zakładów, wystąpiła 9 letnia Janinka Smarzewska i, wręczając jubilatowi grupę pamiątkową swych towarzyszek i sióstr-wychowawczyń, wypowiedziała z uczuciem i zrozumieniem śliczny wierszyk, zaczynający się od słów:

Trwogą przejęta, maluczka, uboga,
Wchodzę nieśmiało w pośród wielkich koło,
I pytam wszystkich: czy to tędy droga,
Gdzie Dobroczyncy wieńczą godne czoło?
I już nie słucham, czy mi kto odpowie
Na moją prośbę. — Widzę, że trafiła
Dobrze — lecz dziecko, jam niemocna w słowie,
Darujcie, proszę, gdybym się zmyliła.”

Ucieszony tą deklamacją, zakończoną prostemi, dziecięciami życzeniami, czcigodny opiekun czule ucałował małą mówczynię i jej towarzyszkę, poczem od drugiej grupy wychowanek zakładu św. Kazimierza przyjął również aksamitny laufer z wyhaftowaną złotem dedykacją i grupę fotograficzną.

Nie mając własnych dzieci, rozciągał on zawsze szczególną opiekę nad sierotami i ubogą dźwiatwą, zarówno w do-
brach swoich Sterdini w gub. siedleckiej, jak i w Warszawie. Zwracał też zawsze pilną uwagę na kształcenie umysłu i charakteru młodzieży, gdyż, jak się wyraził w jednej ze swoich prac:

„Chwałebnem jest badać przeszłość, pięknem i przyjemnem zajmować się literaturą i archeologią, ale użytecznem jest tworzyć terażniejszość, w której jest zaród przyszłości.”

H. G. Wells.

PIERWSI LUDZIE NA KSIĘŻYCO.

Opracowała M. St.

(Dalszy ciąg).

XVI.

List.



Nagle o jakie trzydzieści metrów ode mnie na pochyłości skały, wśród potratowanej, zeschnięj roślinności zobaczyłem czapkę Cavora. Zadrżałem z przerażenia.

Więc go napadły te podobne do owadów istoty, bronił im się biedak, walczył jak mógł, czego dowodem te podeptane rośliny, a oni przemocą wzięli go.

Podszedłem bliżej, i podniosłem czapkę, ślady krwi widać było dokoła.

Stałem przerażony, namyślając się co robić, gdy ujrzałem podrzucany lekko wieczornym powiewem jakiś biały, niewielki przedmiot. Podniosłem go, był to papier zgnieciony i krwią poplamiony, a na nim poznałem pismo Cavora. Usiadłem na pochyłości skały, wyprostowałem papier delikatnie i zacząłem czytać co następuje.

— Stłukłem mocno kolano, nie mogę chodzić ani pełzać...

To było wyraźnie napisane, a później nieczytelnie:

— Oni mnie ciągle gonią i wkrótce dogonią.

Potem bardzo spieszenie napisane:

— Już ich słyszę, — i niewyraźny zygzak. Dalej znów kilka wyrazów:

— Ale to zupełnie inny rodzaj Selenitów, muszą mieć większe komórki mózgowe, gdyż zupełnie inaczej mówią, musi to być klasa rządząca — dalej nic już nie mogłem odczytać.

W końcu były jeszcze niewyraźne te słowa:

— Ubrani są w cienkie, złote pancerze. Choć jestem ranny i zupełnie w ich mocy, ale zdaje mi się, że się porozumiemy, nie tracę nadziei... (Wieczny marzyciel ten Cavor! Oni do mnie nie strzelali, nic mi dotąd złego nie zrobili... mam zamiar...

Na tem list się urwał, duża kresa ołówkiem przecinała cały list, mocno krwią poplamiony.

Gdy tak siedzę, zdrętwiała z żalu nad losem Cavora, rozmyślając, jakby mu pomódz, lekki biały chłodny puszek dotknął mej ręki. Ocknąłem się, spojrzałem dokoła, to śnieg zaczynał padać, te białe płatki to zwiastuny nocy.

¹⁾ Nakło, starożytna osada słowiańska nad Notecią, pow. Bydgoski.

²⁾ Przed kilkunastu laty dom ten zniszczył pożar.

(Przyp. autora).

Spojrzałem na niebo, na ciemnym jego szafirze świeciły miliony gwiazd, na wschodzie widać było złowrogie żółto-brązowe chmury, na zachodzie słońce już znikło, a gęste, białe mgły rozpościerały się powoli, na ich zaś tle spiczały skały i suche łodygi roślin rysowały się jak czarne cienie... Nagle zawiął lodowaty wiatr, śnieg zaczął padać gęstymi płatami. W tej samej chwili usłyszałem dźwięk podziemnego dzwonu: „Bum... bum... bum...”, jak wtedy, gdyśiny rankiem wyszli z naszej sfery i uczyli się chodzić po księżycowych skałach.

Po chwili wszystko ucichło, a ja pomyślałem, że gdy noc mnie tu zajdzie, to ten dzwon wieczorny będzie moim dzwonem pogrzebowym.

— Nie! — zawołałem rozpaczliwie — ja nie chcę jeszcze umierać! Nie dam się śmierci!

I drżąc z zimna i ze wzruszenia, zacząłem skakać co sił ze skały na skałę w stronę, gdzie leżała sfera.

Czas już był wielki, bo nim dobiegłem do niej, to gęsto padający śnieg zakrył ją już do połowy. Zesztywniałem od zimna palcami zaledwie mogłem nacisnąć sprężynę i odsunąć klapę otworu, przez który wsunąłem się do wnętrza. Zasunąłem prędko klapę, chcąc uniknąć zimna i śniegu, a że kilka okiennic było odsuniętych, więc przez szyby domku widziałem, jak wszystko już dokoła pokrył śnieżny całun, a wszystkie łodygi pokryte białym puchem stały w zwartych szeregach, jak wysłanki śmierci.

A Cavor? Co się z nim dzieje? Dziwno mi było bez niego. Szukałem go oczami, czekałem na niego. Zadymka na zewnątrz wzmagała się, wiatr wył złowrogo. Wkrótce śnieg zasypie całą sferę i nim znów słońce zaświeci na tej dziwnej planecie już ja go nie ujrzę. Dobrowolną moją śmiercią Cavorowi nie pomogę a jeżeli wrócę szczęśliwie na ziemię, mając odpowiednie środki materyalne, zbiorę całą wyprawę ochotniczą, wrócę tu i wyswobodzę przyjaciela. Postanowiłem więc wrócić na ziemię z pomocą Bożą.

XVII

W przestrzeni.

Przedewszystkiem przypominałem sobie, gdzie się znajdowała mała lampka nasza, zapaliłem ją, potem nagrzałem bardzo mocno ogrzewacze i sprawdziłem, czy przyrządy wydzielające tlen i pochłaniające kwas węglany, wydzielany przy oddychaniu, działają prawidłowo. Nim się sfera dostatecznie nagrzała, posiliłem się naszymi zapasami, gdyż po przebytych trudach i wrażeniach czułem się zupełnie wyczerpany.

Nie wiem, jak długo trwały te przygotowania, bo zegarek Cavora jeszcze w chwili przybycia na księżyc potłukł się w kawałki, a tutaj czas liczył się zupełnie inaczej niż na ziemi. Gdy już gorąco zrobiło się w kuli, nastawiłem ostrożnie przyrząd wynaleziony przez Cavora, pozasunąłem cavoritowe okiennice wewnętrzne, zgasilem lampkę i przyśrubowałem ją mocno do odpowiedniego przyrządu, Bogu się poleciwszy, czekałem.

Ta ciemność i cisza dawały mi przedsmak grobu, byłem jakby żywcem pogrzebany. W tem uczułem leciuchne wstrząśnienie i zaraz zrozumiałem, że lecę w przestrzeń, bo przedmioty leżące wewnątrz kuli, jak blaszanki z zapasami i mój pakunek ze złotem, zaczęły mnie uderzać po kolei. Przez zasunięcie okiennic Cavoritowych wpływ siły przyciągania księżycy na sferę przerwał się i zaczęła nań działać tylko siła odśrodkowa. Leciąłem.

Doczołgałem się, jak mogłem, macając po ścianach rękami, do otworu, chwyciłem za sznur, który przezorny Cavor tam umocował, aby trzymając się, można było ustać na nogach i odsunąwszy klapę do połowy, wyjrzałem. Zdało mi się, że ledwie dziesięć minut byłem w przestrzeni, i że jestem jeszcze blisko księżycy, tymczasem byłem już tak daleko, że przedstawił mi się jako wielki srebrny sierp na ciemnym niebie, a jak półksiężyc turecki świeciła nasza ziemia.

Zadymki śnieżnej ani znaku, pogoda i spokój zupełnie panował w przestworzu.

Mocno zdziwiony tym widokiem, chciałem zobaczyć, co też będzie widać z przeciwnej strony i odsunąłem cavoritową okiennicę naprzeciw otworu. Olśniony oślepiającym blaskiem słońca, coprzedziej zasunąłem okiennicę, wróciłem do otworu i podziwiając te cuda wszechświata, zadałem sobie pytanie, gdzie też los mnie rzuci?

Cavor umiał kierować sferą, on uczony, matematyk astronom. Ja obecnie rozumiałem tylko cokolwiek, bo korzystałem z jasnych wykładów mego przyjaciela, i wszakże z nim razem budowałem sferę i odbyłem podróż na księżyc, ale czy mi się uda powrócić na ziemię?

Myśl ta trwożyła mnie bardzo, w tamtej podróży Cavor był sternikiem, a teraz czyż dam sobie radę bez niego?

Wyteżyłem pamięć, aby sobie przypomnieć wszystkie wskazówki Cavora i po chwili wielkiej pracy pamięciowej przypominałem sobie, że muszę przybliżyć się do księżycy, przelecieć poza nim, potem zamknąć cavoritowe okiennice z tej strony, a otworzyć wschodnie okna, wtedy ziemia zacznie mnie przyciągać i powrócę na nią.

Zwinąłem więc zaraz okiennice, wychodzące na księżyc i zacząłem lecieć jakby z powrotem, ale gdy znów uczułem jak przy pierwszym zbliżeniu do księżycy, że stoję na dnie a nie wiszę w powietrzu, nie mając zamiaru wrócić na tę zimną planetę, prędko zasunąłem okiennicę od strony księżycy, przebiegłem koło niego z niesłychaną szybkością, a otworzywszy następnie wschodnie okiennice zacząłem spadać ku ziemi przyciągany przez nią. Uczułem się spokojniejszy teraz, byłem tylko małym atomem w wszechświecie, ale atomem wolnym, leciałem w przestrzeni, jak miliony gwiazd lecą po niebieskim przestworzu, drogę miałem wytkniętą i dziwnie blisko wtedy czułem obecność Przedwiecznego. Głowa mi tylko trochę cięższa, a zresztą pod względem fizycznym czułem się zupełnie dobrze.

Nigdy nie zapomnę uczuć i wrażeń, jakich doznałem w tej bezmiernej podróży mojej! Chwilami zdawało mi się, że dopiero co opuściłem księżyc, a chwilami znów, że już od wieków lecę tak w przestrzeni, że jestem istotą stworzoną przed wiekami, że nigdy nie skończę mego biegu, lecz wiecznie krążyć tak będę wśród planet.

W kuli było ciemno, gdyż otwór, przy którym stałem, wychodził w stronę ziemi, która z powodu oddalenia słabo jeszcze oświecała, słońce zaś było pode mną.

Sam byłem wśród ciszy wszechświata, a jednak nie czułem się osamotniony, doznałem wrażenia podróznego, wracającego do rodzinnego domu, czułem się silnym opieką Wszechmocnego i nie doznawałem w duszy żadnej obawy.

Natomiast zdawało mi się, że nie mogę być tym samym Bedfordem z Londynu, który został bez grosza, który zamknął się w Lympe, by napisać arcydzieło dla sceny, a później poznał Cavora i pracował nad jego wynalazkiem, tamten Bedford wydał mi się tak małym, biednym i ograniczonym, że litość mnie brała nad tym nędzarzem. Przebiegłem myślą całe jego życie: dzieciństwo, czasy szkolne, pierwszą młodość... I wydał mi się on maleńką mrówką, uwijającą się w piasku, o! jak nieskończenie większym, silniejszym duchem był obecny Bedford, który dzięki wpływowi uczonego Cavora dokonywał rzeczy nadzwyczajnych

Wśród tych rozmyślań zbliżyłem się ku ziemi tak, że już czułem wyraźnie jej siłę przyciągającą. Gdzie ja też spadnę? pomyślałem. Szczęśliwie wyszedłem ze wszystkich przygód na księżycu a pewnie zginę, wracając do matki ziemi. Tymczasem byłem już wśród atmosfery otaczającej kulę ziemską, temperatura zaczęła się podnosić, niedługo spadnę, ale gdzie to nastąpi?

XVIII.

Bedford w Littlestone.

Nareszcie w szarem półświatle ujrzałem pod sobą morze. Ziemia już mi się nie przedstawiała jak kula, ale

jak ciało płaskie i wklęsłe, byłem już blisko mojego świata, ludzkiego świata.

Zasunąłem szczerze wszystkie okiennice, tylko wschodnią na cal zostawiłem uchyloną aby spuszczać się na dół zupełnie wolno i uniknąć uderzenia gwałtownego. W krótko usłyszałem szum fal morskich, usiadłem na podłodze i polecivszy się Bogu, czekałem...

Sfera spadła w wodę z ogromnym pluskiem, natychmiast zwinąłem wszystkie cavoritowe okiennice, i poczułem, że powoli zagłębiam się w otchłań, potem, że wypływam na powierzchnię wody.

Podróż moja powietrzna skończyła się, zaczynałem teraz żeglować po morzu. Domek mój szklany pływał po falach, jak bańka mydlana.

Noc była ciemna, niebo pochmurne, gdzieś w dali błyszczały żółtawe światła przepływających okrętów, a niezbyt daleko widziałem duże czerwone światło. Ciekaw byłem niezmiernie, gdzie się też znajduję, i czy kiedykolwiek dopłynę do brzegu w moim czarodziejskim domku.

Nie umiałem nim kierować, zdałem się więc na wolę Opatrzności i czekałem, co dalej będzie. Dziwna rzecz, płynąc tak po morzu bez steru, bez żagli, po prostu w szklanej kuli, jak czarnoksiężnik Merlin w legendach bretońskich, byłem spokojny i pełen nadziei w przyszłość, a czując się mocno znużony, usiadłem na podłodze przy moim ładunku, oparłem głowę na rękach i smacznie zasnąłem, kołysząc się lekko na falach. Nie wiem, jak długo spałem, obudziła mnie nieruchomość kuli, przestała się bowiem kołysać i stała w miejscu.

(d. n.)

LAMIGŁÓWKA KRYSZTAŁOWA.

ul. Orła Skała.

Znaczenie wyrazów:

- | | |
|--------|------------------------------|
|* | 1) Opera Wagnera. |
|* | 2) Prorok hebrajski. |
| ...*.. | 3) Miasto w gub. Płockiej. |
| ..*.. | 4) Miasto nad Wisłą, |
| *.. | 5) Liczebnik. |
| ..*.. | 6) Wyspa n. morzu Śródziem. |
|* | 7) Imię męskie. |
|* | 8) Dopływ Wisły. |
| ***** | 9) |
|* | 10) Pol. kompozytor muzyk. |
|* | 11) Góry w Europie. |
| ..*.. | 12) Imię żeńskie. |
| ..*.. | 13) Miasto nad rzeką Elster. |
| ..*.. | 14) Bożek pasterzy. |
|* | 15) Syn Pryama. |
|* | 16) Pseudonym współczesnej |
|* | [poetki polskiej. |
|* | 17) Wódz Greków pod Troją. |

Rząd środkowy oraz środkowe litery złożyc mają imię i nazwisko bohatera z XIX w.

SZARADA.

przez Prymusa.

Pierwsza — to jeden ze znanych pisarzy,
Z jego nazwiskiem sława się kojarzy.

Drugie — litera w każdym alfabecie.

Całość — to taniec o tem dobrze wiecie,
A także — każda z czytelniczek przecie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 47-go.

Szarady: Ma — ta — pan.

Arytmogryfu:

- 1) Tuluza. 2) Ramzes. 3) Antygona. 4) Fagot. 5) Innsbruck. 6) Łada. 7) Attyka. 8) Koło. 9) Orzechówka. 10) Sahara. 11) Amicis. 12) Nektar. 13) Apis. 14) Kwirynał. 15) Altaj. 16) Memfis. 17) Iberus. 18) Elias. 19) Neptun.

Trafiła kosa na kamień.

„W mieście i na wsi.”

20-cia powiastek dla młodych dzieci
opowiedziała

Konstancja Darewska-Weryho

wydanie 2 z 10 rysunkami.

Cena w kartonie 50 kop., w ozdobnej oprawie 80 kop., do nabycia we wszystkich księgarniach.

Skład główny w księgarni *Józefa Zawadzkiego*
w Wilnie (filia w Kownie).

4—2

WYSZEDŁ

Kalendarzyk kieszonkowy na rok 1903.

„Przyjaciół dzieci i młodzieży”

Ładnie oprawny w płótno z ołówkiem i notatnikiem

Cena 25 kop. z przesyłką 35 kop.

Nakładem księgarni *S. Bukowieckiego*

Marszałkowska 100 w Warszawie

Księgarnia posiada wielki wybór książek dla dzieci i młodzieży i wysyła takowe za zaliczeniem pocztowem.

Do dzisiejszego N-ru dołączamy prospekt „Wieczorów Rodzinnych” na r. 1903.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna miesięcznie w Warszawie 35 kop.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Kot wybawcą (z ryc.) — Pogadanki z dziedziny chemii, przez Wł. U. — Wigilia św. Andrzeja. — Pieśń myśliwca, wiersz, przez Alfreda Ludowskiego. — Ludwik Górski (z portretem). Pierwsi ludzie na księżycu, H. G. Wells (z ryc.) — Łamigłówni i rozwiązania. — Dodatek: Pierwszy śnieg, wiersz przez Irenę Mrozowicką (z ryc.) — Niespodzianka, przez B. B. — Prawdę mów, wiersz przez M—a. — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Bezpłatny dodatek książkowy: Biruta, przez Z. Rudnicką.

Redaktorka *Ludwika Hauke*. Доволено Цензурою. Варшава 16 Ноебря 1902 г. Wydawczyni *Marya z Chomętowskich Balińska*.

W drukarni *Noskowskiego, Warecka Nr. 15*.

Pierwszy śnieg.

Pierwszy śnieg dzisiaj! pierwszy śnieg
[biały —
Oj! dawnoż dzieci go nie widziały,
To też uciecha dla nich nielada,
Gdy w dzień grudniowy pierwszy śnieg
[spada.
Zacznie się zaraz wojna niekrwawa:
W fortecy śnieżnej pyszna zabawa —
Sanki dzwonekami brzęczą i dzwonią —
Dzieci po lodzie na łyżwach gonią.
Czegoż więc jeszcze do szczęścia trzeba?
Złocista gwiazdka z jasnego nieba
Już się wybiera w drogę do dzieci —
I wnet w jej ślady Aniołek zleci.
I ku uczczeniu Bożej Dziecinki,
Rozświeci złotym blaskiem choinki,
Spromieni wszystkie twarze uśmie-
[chem
I świat rozspiewa kolendy echem.



Weselej będzie nawet niż wiosną!...
Aż tu, skądś skargę słyshać żalną:
Osłabłe z głodu, z zimna zdrętwiałe
Upada ptasze na śniegi białe!

Ciężkaż bo w zimie ptaszęcia dola:
Śnieg okrył wszystkie łąny i pola,
Nigdzie ziarneczka — wiatr lodowaty
Gna biedne ptasze do wsi, do chaty,
Do miast bogatych, gdzie tyle dzieci...
Nie tak ptaszynie straszno w zamieci
Tam, kędy ludzkie serca litosne
Mogą swem ciepłem zastąpić wiosnę.

Dzieci! rachują na was ptaszęta!
Sypcie im ziarenka, kruszynki chleba —
Nad Bożem ptaństwem litość — rzecz
[święta.
A tak niewiele ptaszętom trzeba.

Irena Mrozowicka.

NIESPODZIANKA.

Mama Marysieńki była bardzo chora. Oprócz lekarza, cioci i tatusia, nikt nie wchodził do jej pokoju i niewolno było nikomu rozmawiać.

Braciszka Marysieńki, Józia, zabrała ciocia do siebie, bo nie umiał sprzątać się cicho. Marysieńka tylko uprosiła tatusia i została w domu, i bardzo była rada z tego, że przynajmniej jest blisko mamy, choć jej nie mogła widywać.

Nie myślała o tem, że Józiovi weselej u cioci, gdzie jest kilkoro dzieci. Chodziła po domu cichutko, na paluszkach, i starała się pomagać cioci, bo dużo było roboty z powodu choroby mamy.

Po kilku tygodniach mamie było lepiej i nareszcie jednej niedzieli, tatuś pozwolił Marysieńce wejść do jej pokoju.

Jakaż to była radość! ale kiedy zobaczyła mamusię siedzącą w fotelu, bladą i słabą, miała ochotę zapłakać...

— Niedługo już będę chodziła po całym domu — przemówiła mama, i obejrząc wszystko coście z Józkiem napsocili.

— Niewiele zobaczysz — roześmiał się tatuś — bo Józia niema, a Marysieńka sprzątała się jak najlepsza z dziewczynek. Nalewała mi herbatę, podawała gazety,



Zobaczyłam mamusię w fotelu bladą i słabą.

przynosiła pantofle, a nawet pomagała kłaść palto, chociaż musiała wchodzić na krzesło, żeby swojego rękawa dosięgnąć.

Ach! jak miło było Marysińce to słyszeć! Mama patrzyła na nią długo, a potem przyciągnęła do siebie i pocałowała.

— To jeszcze nie wszystko — zaczął tatuś — ale Marysińka dała mu znak, że reszta to tajemnica... Zresztą, zobaczysz sama — dokończył tatuś ostrzeżony.

Po dwóch tygodniach dopiero zaczęła mama chodzić. I znalazła ową niespodziankę — haftowaną serwetkę ze swoją cyfrą. Marysińka sama wyhaftowała ją na ulubiony stoliczek mamy.

— Śliczna niespodzianka — zawołała mamusia uradowana. — A teraz nalej mi herbaty! wypiję ją przy tym stoliku, żeby patrzeć na twoją robotę.

Marysińka była bardzo szczęśliwa i dumna, że sprawiła mamie wielką radość.

B. B.

Mów prawdę.

Dziecię! pilnuj swoich słów!
Kłamstwo depcz, jak złą gadzinę,
Choć co zbroisz, wyznaj winę,
Karę znieś — a prawdę mów!

Prawda, to mądrości szczyt,
To wielkości, siły rdzeń —
Kłamstwo żyje jeden dzień,
Pozostawia wieczny wstyd.

Dziecię, pilnuj swoich słów!
Nie każ kłamstwem młodej duszy;
Prawda wszystko przetrwa, skruszy,
I zwycięską będzie znów.

M—a.

Julia Piasecka.

Przygody Wojtaszka.

(Dalszy ciąg).

Aha, wiem, wiem, rozumiem — mówi pan redaktor — idzie mi o to, co chcesz ogłosić, ja ci napiszę a później wydrukujemy.

— Oj dobrze, dobrze wielmożny panie, a to chciałem, żeby się ci państwo dowiedzieli, co im to komedianci dziewczynkę ukradli przed dwoma laty, że tu ona jest w Warszawie, bom, ją przywiózł z Węgier, a mieszkamy na Solcu pod Nr. 12.

Pan redaktor najpierw się uśmiechnął, później zamyslił, i gotowy już do pisania, pióro odłożył.

— Z tego co mówisz, niewiele rozumiem, moje dziecko, i jeżeli istotnie poszukujesz rodziców jakiejś zaginionej dziewczynki, to ogłoszenie na nicby ci się nie przydało, to trzeba zrobić inaczej. Powiedz mi, jak się nazywasz i gdzie mieszkasz, a ja zajmę się tą sprawą. Jutro

będę u was i zobaczę się z owym panem Szymonem, o którym mówisz, później napiszemy artykuł w gazecie!

Pewność, że taki bogaty pan, a przytem taki uczciwy, bo pieniędzy wziąć nie chciał, zajmie się jego sprawą, dodała Wojtaszkowi pewności i spokoju.

Powrócił do domu i z ufnością czekał jutra, a gdy nadeszło, z uderzeniem jedenastej godziny pan redaktor zjawił się w stancyi pana Szymona, tak jak, to Wojtaszkowi przyrzekł. Opowiadanie chłopca zrazu niepewne, ciche, ale już więcej szczegółowe, widocznie go zajęło. Słuchał uważnie, notował nazwiska kuglarzy, miejscowości gdzie przebywali, a później i pan Szymon szczegółów udzielił, oświadczając, że gotów przysiądź, że dzieci wieczorem z ulicy przygarnął, że się nimi opiekuje, że grosza od nich dotąd nie wziął, i że dzieci śpiewem i muzyką na mieście zarabiają.

— A gdzież jest dziewczynka? chciałbym ją zobaczyć i posłuchać, jak śpiewa!

Copredzej mała Nelli ubrała się w czerwoną sukienkę i złoty kołpaczek, Wojtaszek wziął flet i rozpoczęło się przedstawienie. Dziewczynka śpiewała po węgiersku i niemiecku, a przytem tak lekko i ze znajomością sztuki tańczyła i skakała, że pan redaktor, jakkolwiek z niedowierzaniem słuchał z początku opowiadania, przestał w końcu wątpić w prawdę słów opowiadającego. Zmęczoną Nelli ucałował, a Wojtaszkowi uściśnął dłoń.

— Jesteś poczciwym chłopcem, więc starać się będę, aby ci w szlachetnych twoich zamiarach dopomóż, w każdym razie licz na mnie. Jutro o tej samej porze przyjdź do mnie, będziesz mi potrzebny.

Co to za szczęśliwy dzień, nareszcie będzie ogłoszenie!

Pan redaktor, nietylko słowa dotrzymał i napisał obszerny artykuł do Kuryera, ale sprawę nieszczęśliwych dzieci posunął wiele naprzód. Sprawdził bowiem u władzy miejskiej, że przed dwoma laty zdarzył się rzeczywście wypadek zaginienia dziecka, a nadto, że policya w swoim czasie robiła poszukiwania ale bezskuteczne, bo trupa Czardaya istotnie potajemnie opuściła miasto.

Wojtaszek nie posiadał się z radości.

— A kiedy to będzie wydrukowane?

— Zaraz ci powiem... dziś mamy czwartek, jutro nie można, bo szpalty Kuryera już zapełnione, w sobotę będzie na pewno!

— Och, to dobrze, bardzo dobrze, ślicznie dziękuję wielmożnemu panu, i kładąc pieniądze, dodał: — W sobotę zamówiła mnie jedna pani, żebym przyszedł zagrać choremu chłopcykowi, pewnie trochę zarobię, bo i Nelli tańczyć będzie, to jakby nie wystarczyło tych pieniędzy, przyniosę więcej.

Pan redaktor uśmiechnął się, słysząc poczciwe słowa Wojtaszka, a oddając mu pieniądze, rzekł:

— Weź je, mój chłopcze, schowaj na drogę do Brzezin, jeśli kiedy będziesz miał ochotę wrócić do ojcowskiej chaty, ja twoich pieniędzy nie chcę!

Wojtaszek oniemiał z podziwienia! Bał się, czy wystarczy, bo Szymon tyle pieniędzy już od niego wyłudził, a tu panowie wszystko darmo zrobili! O, jaki Bóg wielki i jaki miłosierny, że mu pozwolił spotkać tylu dobrych ludzi!

Późną jesienią, dni pogodne bywają rzadko, a jednak w sobotę słońce choć blade, świeciło od rana! Jakże się z tego cieszył Wojtaszek, na Wiejską ulicę taki kawał drogi, a Nelli nie miała ciepłego ubrania, zmarzłaby w swej krótkiej, czerwonej sukience i pantofelkach, gdyby deszcz padał i wiał ostry wiatr! O, jak to dobrze, że słońce świeci a chodniki suche! Wzięli się za ręce i szli razem spokojni i weseli. Weszli w bramę i na schody. Wojtaszek doskonale pamiętał numer mieszkania. Ujrzała ich też już bona, pobiegła do pokoju Julka.

— No, Juleczku — zawołała — przyszli oczekiwani twoi muzykanci, czy mają tu wejść?

— Ależ tak, chodźcie, chodźcie, tu blisko do mnie; — dzieci stanęły przy drzwiach. Widzicie, jaki jestem niešťczęśliwy — mówił chory chłopczyk — ten niedobry lekarz, chociaż byłem posłuszny i zażywałem lekarstwo, nie pozwolił mi jeszcze wstać! Przykrzy mi się ogromnie, ale cieszę się, żeście przyszli, rozweselicie mnie trochę! A wyciągając rękę do dziewczynki, wołał:

— Chodź małeńka bliżej, chcę ci się przypatrzeć i o coś zapytać!

Nelli podeszła bliżej.

— Czy dzisiaj jesteś głodna? — spytał cicho — jeśli tak, to się nie martw, mam dla was czterdziestówkę od tatusia a całe pudło ciastek od wujaszka, mnie jeść nie wolno, więc dam wam wszystkie!

— O, ja bardzo lubię ciasteczka — zawołała dziewczynka!

— Ale nie jadasz ich pewnie?

— O nie, czasami tylko, jak Wojtaszek zarobił dużo pieniędzy, to mi kupił.

— Temu chłopcu imię Wojtaszek?

— Tak, teraz tak się nazywa, ale dawniej to mu było na imię Ralf!

— Ralf jakie to zabawne imię, wcale nie polskie, a tobie jak na imię?

— Nazywają mnie Nelli.

— Nelli? nie słyzałem, żeby kto tak dziewczynkę nazywał, to także nie po naszymu!

Julek w pytaniach był niewyczerpany, Nelli chętnie gawędziła, lecz Wojtaszek niecierpliwił się.

(d. c. n.)

ARYTMOGRYF.

ul. B...n.

- 1) 6, 10, 20, 24, 18. Państwo w Europie.
- 2) 2, 0, 8, 11, 22, 12, 10. Część świata.
- 3) 21, 23, 22, 10, 24, 16, 18. Miasto w Persyi.
- 4) 2, 5, 10, 2, 11, 8, 20, 4. Plaż pokryty tarczami kości-
[stemi].
- 5) 21, 41, 55, 12. Małe narzędzie stalowe.
- 6) 16, 5, 20, 12. Część świata.
- 7) 17, 18, 7, 12, 12. Miasto pamiętne bitwą w r. 1444.
- 8) 21, 18, 3, 20, 8. Kraje w Azyi.
- 9) 2, 8, 8, 7, 16. Wyspa na morzu Śródziemnem.

Zastąpić liczby literami i utworzyć 9 wyrazów, którychby początkowe litery złożyły nazwę miasta na wyspie Islandyi.

ZAGADKA.

Jakiego konika nie można dosiąść ani zaprządz?

SZARADA.

z Maryampola.

Pierwsze to samogłoska, a znów *drugie trzecie*
Po sklepach i aptekach na pewno znajdziecie.
Wszystko wraz, potrzebne nam na każdym kroku,
Zarówno przy modlitwie, jak w pracy natłoku,
Potrzebne w każdej chwili, nawet przy zabawie,
Ale najpotrzebniejsze zawsze w szkolnej ławie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 47.

Szarady: Do — li — na.

Kwadratów magicznych:

S	t	o	W	a	t	a
t	e	n	a	r	o	n
o	n	a	a	n	n	a

Skrzynka do listów.

Pani Zofii P. w P. Żądane numera wysłano.

P. Wuka. Zagadki choć zręczne, ale może zbyt już łatwe. Powinnowania wyjątkowo tylko umieszczamy, bo uważamy, że tylko pisane do jakiejś kochanej osoby bywają prawdziwie serdeczne i szczerze.

P. J. Pom. Dziękujemy za słowa uznania, które zawsze wysoko cenimy. Nagrodę wysłaliśmy

B...n. Arytmogryf przyjęty. Łamigłówkę zużytkujemy ze zmianami.

Dobre rozwiązania zadań, jako też zadania własnego układu nadesłali: Jutrzenka, Silna Wola, Tom i Deay, Stanisław Berkan, B... n, Edward B., A. H. z Marszałkowskiej, Antoś z nad Warty.

Rozsyłanie nagród za roboty ręczne już rozpoczęliśmy Kalinie. Otrzymaliśmy należne marki. Żądany numer wysyłamy.

Helenie Mikul., adres zmieniliśmy

Maryanowi O. Powieść ta dotąd nie drukowana, rękopis jest u autorki, której obecnie niema w Warszawie.

Pseudonym twój **Stuletni Dębie** dobry i nie radzę ci zamieniać go na inny. Nie obawiaj się, że mnie nudzisz, swymi listami, ale bacz pilnie na ortografię, bo tak w twojej karcie, jak i w liście przyjaciela mego *Antosiu z nad Warty* znalazłam kilka omyłek. Nie zapominaj Antosiu, że ja zawsze was proszę, byście tylko w chwilach wolnych od nauk pisywali, uważając naszą korespondencję za miłą rozrywkę lecz nie za obowiązek.

Antoś Filip., ujrzałby może w druku swój arytmogryf, gdyby nie zapomniał przysłać rozwiązania. Łatwo to jednak naprawić.

Silną Wolę, nową czytelniczkę witam serdecznie, 9-o letnia korespondentka, pisząca tak porządnie, niezmiernie jest pożądana. Powiem ci pod sekretem, że znam chłopców i panienki nawet starsze, które piszą tak niedbale, jak głyby zamiast dobrych piór stalowych używały — kurzych łapek. Kto jestem, wiesz, bo list twój od mojej nazwy zaczynasz, a jak wyglądam, to latem gdy wrócą moje imienniczki, zobaczysz. Nie dziwię się, że z takim zajęciem oczekujesz dalszego ciągu „Biruty”. Po nowym roku ogłosimy kilka różnych konkursów, między innymi i na kaligrafię. Bardzo prosimy, abyś nas odwiedziła w redakcyi, gdy będziesz w Warszawie.

Współczuję sercem całemu Orłęciu Mazowieckiemu, że choroba oczu skazuje go na tak długą bezczynność. Dobrze, że choć trochę możesz już czytać i pisać. Nie zachęcam nigdy moich młodych przyjaciół do prób autorskich prozą lub wierszem,

nawet gdy widzę w tym kierunku zdolności, lecz przedewszystkiem daję im radę i przestrożę, że zanim zaczną drukować, powinni wprzód nauczyć się doskonale swego języka, poznać celniejszych pisarzy, no, i zebrać przez pracę i życie materyał do treści. Wierszyki twoje są słabe pod względem formy i układu, i zawierają błędy gramatyczne i stylowe. Mam nadzieję, że nie weźmiesz za złe mej szczerzej odpowiedzi i nadal korespondentem moim pozostaniesz.

Nietylko pozwalam — lecz proszę, bardzo proszę, by **Przepióreczka z Podlasia** jak najczęściej do mnie pisywała, w wolnych chwilach. Spodziewam się, że i w przyszłym roku równie zajmujące znajdziesz w „Wieczorach” powieści. Przepowiadają, nam w tym roku stała, mroźną zimę, użyjesz więc ulubionej ślizgawki. „Wyborna ta rozrywka daje zdrowie i siłę, wprowadza w ruch a przez to rozwija i wzmacnia mięśnie, przyspiesza krążenie krwi, działa dobrze na płuca i apetyt. Przeciż żadne najniesmaczniejsze lekarstwo tak korzystnego skutku nie wywiera, a ślizgawka to nie tran, albo jakaś mikstura, to najprzyjemniejsza rozrywka, jaka istnieje pod słońcem... zimowem!” — Tak pisał parę lat temu w jednej ze swoich pogadanek *Wieczór Rodzinny*, a nie prawdaż, że miał rację? Łochozwianka przyjeżdża na zimę do Warszawy, ona starsza jest od ciebie.

W samą porę przysłałaś wiadomość o wieku swoim **Polna Różyczko z Litwy**, przed samem oddaniem sprawozdania z konkursu do drukarni. Cieszę się, gdy nie zapominacie o mnie, lecz wyrozumiała, jestem, gdy przez czas dłuższy w obec lekcyi i zajęć nie otrzymuję od kogoś z was listu. Bardzo to dobrze, że zajmujesz się tą małą sierotką; ale nie zrażaj się tylko, bo wytrwałością rozbudzisz pewnie uśpioną inteligencyę i roztropność u swojej pupilki.

Dziękuję ci **Brzoza** i tobie **Ukrainko** za serdeczne i przyjazne słowa, jakimi do mnie przemawiacie, postaram się odwzajemnić za przyjaźń waszą i już zaliczam was do grona moich stałych i kochanych korespondentek. Z zajęciem czytałam w liście Brzozy opis wesołej zabawy w dniu Ś go Karola, a z listu *Ukr.* dowiedziałam się, że wkrótce musicie się rozstać. Czy dawno mieszkaliście razem? Dlaczego *Ukr.* opuszcza strony rodzinne? Przykre wam będzie rozstanie, gdy według słów waszych, kochacie się jak siostry. Choć rozłączone, mam nadzieję, że żadna z was nie rozerwie świeżo zadzierżgniętej nici między mną i każdą z was. Na zakończenie Jaskółka pogderze trochę. Listy wasze zajmujące, styl niezły, ale pismo bardzo niedbale, radzę wam obu, starajcie się pisać uważnie i porządnie, bo równe a choćby tylko czytelne pismo wszyscy mieć możemy i musimy, a gdy za młodu do tego się nie przyłożymy, to później będzie jeszcze gorzej.

Jak to czasem nie wiadomo dla czego przeleci myśl nierozważna przez głowę. Tak było właśnie, gdym list twój czytała, **Lilio Wodna!** Widzę, jak ze zdziwienia otwierasz szeroko oczęta, otóż powiem ci zaraz, jak to było. Tak się cieszyłam, iż o mnie nie zapomnialaś, że gdy dowiedziawszy się, iż lekkie-mu zaziębieniu list twój zawdzięczam, pomimo woli pomyślałam: ach jak to dobrze! choć daleko więcej chodzi mi o twe zdrowie niż — o własną przyjemność. Nie dziwię się, że przy tak licznych zajęciach nie możesz często pisywać, na kursach roboty dużo, ale w gronie tak wesołych koleżanek każda praca lżejszą się staje. Nauka angielskiego tylko z samego początku wydaje się trudna, wymowa to istna „gimnastyka języka” lecz gramatyka łatwa. „Stefek Luty” niezmiernie zajmował wszystkich czytelników, szanownej autorce, która pisze już dla nas nową powieść, zakomunikuję niezadowolone twoje ze śmierci rodziców i ożenienia się bohatera. „Pierwsi ludzie na księżycu” autor skreślił na gruncie choć nie stwierdzonych, lecz prawdopodobnych hipotez naukowych.

Starsza siostrzyczka namówiła **Roztrzępanego Kopciuszka** do napisania dawno zamierzonego listu, pseudonym wybrała dobry, bo musisz być roztrzępanym kochany Kopciuszku, skoro *roztrzępanie* przez *sz-a* nie *rz* piszesz. Pilnie trzeba pracować, by zasłużyć na same 5 i 4, ale gdy dobre chęci są, to nie wątpię, że

cel pożądaný osiągniesz. W zapowiedzi na rok przyszły podaliśmy tytuły niektórych powieści, które się będą drukowały w „Wieczorach.” Gdy pierwsze lody złamane — mam nadzieję zachować cię w gronie stałych korespondentów.

Polnej Myszce. Do tej pory mówiono o myszkach, że papier gryźć potrafią, moja *Polna Myszka* zamiast papieru zgryzła połowę łamigłówki, zadanie przysłała, tylko o rozwiązaniu zapomniała — więc czekam. Wielu czytelników — jak ty — żałują gdy się powieść zajmująca skończy, choć końca tego z wielką ciekawością oczekiwały.

Wieczorem gwiazdy świecą — więc słusznie by i nasze „Wieczory” **Błyszcząca Gwiazdka** darzyła promykami przyjaźni swej i zaufania, a obawa, że znudzisz mnie swą gawędką, niech nigdy w główce twej nie zaświta.

Wiesz, jak chętnie gwarzę z wami, nie ociągaj się i za trzy lata milczenia, pisuj teraz często.

I ty także kochana **Wajdelotko** nie obawiaj się, aby listy od ciebie nie były mile witane. I styl twój i pismo nic nie pozostawiają do życzenia. Łochozwianka należy do rzędu starszych naszych czytelniczek, mieszka na wsi, o 12 godzin drogi od Warszawy; zimę tegoroczną ma spędzić w Warszawie, ciesz się wyjątkową sympatją wśród współczytelniczek *Wieczorów*. Jeżeli chcesz wymienić z nią karty pocztowe, przyslij mi swój adres, a ja go jej doręcę.

Nie uwierzysz **Biała Mewo**, jak często myślałam o tobie, z upragnieniem oczekując listu, o którym w kartce wspominasz, nie otrzymałam go niestety, i stąd milczenie niczem nie wytłomaczone z mej strony. Bądź wspaniałomyślną i nagroź mi przykrość wyrządzoną przez pocztę. Chciałabym coś więcej wiedzieć o tobie; czy zimę spędzisz za granicą, czy w kraju, na wsi, czy w Warszawie? Powtórz mi choć w krótkości zawartość listu, bo nie wiem nawet, gdzie i jak lato spędziłaś? Bądź przekonana, że nietylko do dawnych, lecz i do bardzo bliskich a drogich przyjaciółek moich i *Wieczorów* zaliczoną jesteś, więc wszystko, co dotyczy ciebie żywo nas obchodzi i zajmuje.

Od **Białej Myski** listu nie otrzymałam, w przeciwnym razie czyżby potrzebowała skarżyć się na brak odpowiedzi?

Ablusi za ładną kartkę bardzo dziękuję.

Dla braku miejsca odpowiedzi dla **Dzikiej Litwin.**, **Prądku złotych nici** i kilku jeszcze nowo przybyłych korespondentów odłożyć muszę do przyszłego numeru. Tymczasem zostają zawsze wam oddana

Jaskółką.

Wymiana ilustr. kart pocztowych.

B. Jaróchowski pragnie wymienić z czytelnikami *Wieczorów* ozdobne karty pocztowe. Adres: Warszawa Marszałkowska 62.

Żarcik na zakończenie.

Mały czteroletni Józio, wielki amator łakoci, mówi do ojca.
— Ach, jak jabym chciał być tatusiem!
— A to dlaczego? pyta ojciec.
— Bo mógłbym codzień dawać dwa ciastka kremowe swojemu synkowi.

NAJPRAKTYCZNIJSZE

palta, sukienki, kapelusze, sukienki do chrztu,
bielizna dziecinna

W MAGAZYNIE

JANINY

w Warszawie, Marszałkowska Nr. 151.

10—8